

NIGDY SIĘ NIE ZNUDZIŁAM!
Z PROFESOR EWĄ WIPSYCKĄ ROZMAWIAJĄ
ANDRZEJ GILLMEISTER I ADRIAN SZOPA*

Czy mogłaby Pani opisać swoje najwcześniejsze wspomnienia, swój dom rodzinny?

Zdumiewającą osobą była moja matka, nauczycielka biologii w liceum żoliborskim, najpierw żeńskim, później koedukacyjnym. Była cudowną nauczycielką, zupełnie zjawiskową, stosującą metody wręcz uniwersyteckie i potrafiącą uczyć myślenia. Mówiła tubalnym, męskim głosem i od razu było wiadomo, w której klasie prowadzi lekcje. Moja wizja obowiązków nauczycielskich jest wizją mojej matki. Przekonanie, że uczenie jest zajęciem radosnym, pochłaniającym. Mój ojciec natomiast był księgowym, ale bardzo interesował się przeszłością i być może to właśnie on opowiadając o historii popchnął mnie w stronę zainteresowań historycznych.

Gdzie Pani Profesor mieszkała w dzieciństwie?

Na Żoliborzu, jak i teraz. Mieszkaliśmy trzy przystanki tramwajowe od szkoły, gdzie uczyła moja matka. Pamiętam, że jak tylko robiło się ciepło, biegałam na lekcje boso. I to nie dlatego, że pogoda sprzyjała... Przeżywaliśmy czasy bardzo trudne. Pamiętam okres okupacji, kiedy moja matka zapisała mnie na tajne komplety, skazując przy tym na wędrówki po mieszkaniach koleżanek, które znajdowały się w lepszej sytuacji materialnej niż ja. Zbieraliśmy się tam na lekcjach.

Pani Profesor miała sześć lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Czyli pierwsze lata edukacji to okres okupacji. Czy coś utkwiło Pani wyjątkowo mocno w pamięci z atmosfery tamtych czasów?

Jedna rzecz szczególnie. Byłam nerwowym dzieckiem i przed wojną posiadałam nawet specjalną opiekunkę, która starała się zrobić wszystko, żebym funkcjonowała spokojnie i przede wszystkim nie jękała się. A miałam z tym naprawdę duży problem. Gdy wybuchła wojna, mój ojciec, który był pracownikiem cywilnym służby

* Podstawą tego tekstu jest wywiad z prof. Ewą Wipszycką przeprowadzony przez Adriana Szopę i Andrzeja Gillmeistera 22 kwietnia 2016 r. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Nagranie jest dostępne w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistorykowstarozytnosci.edu.pl/portfolio/ewa-wipszycka/>.

wojskowej, został ewakuowany z Warszawy. Pamiętam to dobrze. Pamiętam też, jak znaleźliśmy się na polu kartoflanym, a nad nami latały samoloty. Te obrazy zostały bardzo wyraźne. Przestałam się wtedy jękać. Terapia szokowa, ale skuteczna. Z tamtych czasów pamiętam też, że było głodno, chłodno, fatalnie, ciśnienie gazu bardzo niskie. Żeby skłonić gazomierz do lepszej działalności, stukaliśmy w niego od spodu kijem od miotły. Bezszykownie zresztą. Po ewakuacji szybko udało nam się wrócić i spędziłam okupację w Warszawie, aż do powstania. Wyszliśmy w momencie, w którym zostało zawarte porozumienie. Dopiero w październiku 1944 roku.

A czy z powstania warszawskiego Pani Profesor coś pamięta?

Deptanie po trupach, kiedy uciekaliśmy z domu do innego budynku, szpitala, żeby tam się schronić. Pobyt w szpitalu, w którym umierał mój krewny i inni ludzie. Potem ucieczkę do następnego bloku. To pamiętam. Ale też pamiętam i scenę przezabawną. Gdy ta część Żoliborza, w której mieszkałam, nie była jeszcze objęta działaniami wojennymi, ściągnęłam dzieci z okolicy i zrobiliśmy przedstawienie. Śpiewaliśmy zebrany dorosłym. Takie flesze, które zostają w pamięci. Została mi świadomość tego, jaka to była straszna, straszna tragedia. Pamiętam historię mojego brata w czasie powstania: nie brał udziału w walce, ale gdy powstanie wygasło, moja matka zadbała o to, by przyjęto go do jakiegoś oddziału, by po poddaniu powstania był traktowany jak żołnierz, a nie cywil. Bała się, że trafi na roboty do Niemiec. I rzeczywiście trafił do stalagu, do szpitala (notabene był tam razem z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim). Pamiętam, jak o głodzie i chłodzie czekaliśmy w na pół zrujnowanym bloku na zakończenie wojny. Żadne śpiewy patriotyczne, żadne zrywy narodowe. Szara, przygnębiająca rzeczywistość. Ale muszę zauważyć, że zdobyta w czasie studiów kultura historyczna skutecznie koryguje pamięć dziecka.

Czy te wspomnienia ukształtowały Panią?

Nie.

Nawet jako zdolność patrzenia na historię? Na przeszłość?

Moje patrzenie na historię, profesjonalne umiejętności przeszły przez tyle doświadczeń osobistych, tyle rozlicznych wpływów, że nie mogę określić, co się na to złożyło tak jednostkowo.

Jak wyglądała Pani edukacja powojenna?

Do szkoły wróciłam od razu. I bardzo porządnie do niej chodziłam. Co tu ukrywać, byłam obrzydliwie pilną uczennicą. Miałam naturę prymusa. Tak było w szkole, potem na uniwersytecie. W szkole należałam do tej grupy uczniów, którym pozwolono wejść na studia bez egzaminów wstępnych. Nazywało się to „przodownik pracy społecznej i nauki”. Byłam takim przodownikiem, ponieważ organizowałam działalność młodzieżową w szkole. Tym sposobem została mi oszczędzona przykreść egzaminu wstępnego.

Rozpoczęcie edukacji uniwersyteckiej to 1951 rok. Czy od razu Pani celem była historia i studia nad światem antycznym?

Muszę przyznać, że poszłam na studia nie mając żadnych szczególnych zainteresowań. Jako grzeczna i nieco ciekawska dziewczyna interesowałam się po prostu wszystkim. Pamiętam, że jak profesorowie w trakcie wykładów informowali

nas, że tym zajmował się Iksiński, a tym Igrekowski, to szłam do czytelnicy, wyjmowałam z półek wspomniane książki i czytałam. Z poczucia obowiązku.

Moją przewodniczką na studiach była Iza Biezuńska-Małowist. Była to osoba, która potrafiła przyciągnąć do siebie. To zabawne, bo nie była nadzwyczajnie dobrym wykładownicą, ale potrafiła nas przekonać, że jest mnóstwo rzeczy do zrobienia na nowo w historii starożytnej. A że kurs z antyku był pierwszy na studiach... Pewnie gdybym rozpoczynała od innej epoki... Chociaż nie, nieprawda. Równocześnie mieliśmy dwa kursy, obok starożytnej także średniowiecze. A jednak nigdy nie kusiło mnie bycie średniowiecznikiem. I to jest odpowiedź, dlaczego zostałam starożytnikiem.

Wspomniała Pani, że Iza Biezuńska-Małowist przyciągała do siebie młodych ludzi. Kto należał do grona studentów zgromadzonych wokół Biezuńskiej?

Z osób naprawdę wybitnych to Jerzy Kolendo, który był moim kolegą z tej samej grupy ćwiczeniowej. Na proseminarium na drugim roku uczęszczało sporo osób. To bardzo charakterystyczne, że i Iza Biezuńska-Małowist, i jej mąż, Marian Małowist, przyciągali zdolnych i inteligentnych ludzi. Często były to osoby, które nie robiły u nich specjalności, nie szkodzi, bo zawsze przejmowali coś z ich warsztatu i sposobu postrzegania etosu pracy historyka. Mieliśmy świadomość, że dotykamy nauki autentycznej.

Poza Małowistami osobą naprawdę dla mnie ważną był Aleksander Gieysztor. Czyli jednak średniowiecze. I to średniowiecze w cudownym, archeologicznym wydaniu. Był to czas rozpoczęcia badań prowadzonych w ramach przygotowania do obchodów milenium państwa polskiego. Gieysztor jeździł od stanowiska do stanowiska i był w stanie nadać efektom wykopalisk sens historyczny.

Czy Iza Biezuńska-Małowist jest tą osobą, którą może Pani Profesor określić mianem swojej mistrzyni?

Na pewno. Po pierwsze była tą osobą, która przymusiła mnie do wyboru mojej specjalności naukowej. Prowadziła bardzo dobre proseminarium. Bardzo interesujące, bardzo żywe, z ogromną ilością dyskusji. Podobnie seminarium magisterskie. Biezuńska uczyła nie faktów, ale tego, co się z tymi faktami będzie robiło. W moim życiu naukowym odegrała rolę nie do przecenienia, jak już wspomniałam. Stała na stanowisku, że powinnam zająć się papirusami. Przy czym zadecydowały przyczyny czysto pragmatyczne. Żył jeszcze Jerzy Manteuffel, chociaż był już chory i praktycznie nie działał. Przyjechał natomiast do Polski ze Stanów Zjednoczonych Rafał Taubenschlag. Przywiózł ze sobą swoją bibliotekę. Przed wojną był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Taubenschlag był uczonym powszechnie znanym na całym świecie, o szerokich kontaktach naukowych. Dostawał ogromne ilości odbitek. Panowie już nie wiedzą, co to jest odbitka, jaki to skarb. Dzisiaj z pewnym sentymentem patrzę na pudła z odbitkami, po które nikt już nie sięga. W epoce, gdy nie było kopiarek, przesyłanie i otrzymywanie odbitek było chyba podstawową formą wymiany pomiędzy badaczami. Otrzymywałeś odbitkę i wiedziałeś, co kto napisał. Biblioteka Taubenschlaga była znakomita. Ocaliła mnie przed deprymującym kompleksem niższości. Po prostu nie przychodziło mi do głowy, że czegoś w tym księgozborze może nie być. I rzeczywiście wszystko tam było i było na miejscu, solidna podstawa do badań. Bardzo długo nie chciałam się zgodzić na propozycję

Biezuńskiej. Przynaję, że ze względów pozanaukowych. Moje zainteresowania polityczne sprawiły, że bardziej interesowałam mnie okres schyłku republiki rzymskiej. Ale moja szefowa potrafiła przekonywać, była uparta w tej materii. I bardzo dobrze.

Czy poza Izą Biezuńską-Malowist miała Pani Profesor jakichś mistrzów?

Tak. Po pierwsze jestem dzieckiem Instytutu Historycznego. I może w tym miejscu wygłoszę pochwałę tego niezwykłego miejsca. Ja jestem uczniem tego Instytutu, który w latach pięćdziesiątych, jeszcze przed odwilżą, a po niej już zupełnie, był miejscem otwartym na świat. To był wielki instytut nauk historycznych, który gdy otworzyły się granice i można było wyjeżdżać, uczył całą Europę, jak uprawia się historię ekonomiczną i społeczną. Dziś mało kto wie i mało kto pamięta, ale Gieysztor, Malowist, Kula, Mączak, w mniejszym stopniu Samsonowicz, to byli ludzie, którzy pokazywali, co można i co wynika z inteligentnie uprawianej historii, która była historią niewątpliwie pod wpływem marksizmu, ale adoptowanego bardzo wybiórczo i bardzo inteligentnie. Mam świadomość, że jestem uczennicą tego całego środowiska, z którym się identyfikowałam i które mnie w całości uczyło najrozmaitszych rzeczy. Dlatego gdy po raz pierwszy wyjechałam za granicę i znalazłam się we Francji, w Paryżu w 1959 roku, miałam świadomość różnic pomiędzy mną a moimi kolegami – słuchaczami seminariów, w których także uczestniczyłam. Ja byłam historykiem, a oni... Moje postrzeganie historii, warsztatu badawczego oraz problematyki historycznej było zupełnie różne od tego, co oni prezentowali. To były dwie kompletnie różne rzeczy. Jeżeli czegoś mi brakowało, to umiejętności technicznych. Przyjmowałam to z pokorą i rozpaczą. Ale wyraźnie widziałam, że Instytut Historyczny nauczył mnie sztuki zajmowania się historią ekonomiczną i społeczną.

Czas studiów to nie tylko czas studiowania. Czy mogłaby Pani opowiedzieć coś o życiu prywatnym, studenckim w tamtym okresie?

Byłam bardzo grzeczną, bardzo pilną studentką, zdającą wszystkie egzaminy na piątki. Mnie po prostu interesowało wszystko to, czego się uczyłam, i gdzie w głowie te informacje się układały. Poza tym pochodziłam z biednej rodziny. Moi rodzice mieli ogromne kłopoty finansowe i wynikające z nich problemy z utrzymaniem siebie i nas wszystkich. Dla mnie było rzeczą oczywistą, że muszę pracować. Jednocześnie nie mogłam starać się o stypendium, bo podobno moi rodzice zarabiali za dużo. Na początku pracowałam w bibliotece instytutowej. Bardzo sobie cenię to doświadczenie, bo głównym moim zadaniem było noszenie książek. Tym sposobem poznałam wielotysięczny księgozbiór biblioteki. W ostatnim roku studiów pracowałam jako nauczycielka historii w liceum pedagogicznym na Stawkach. Zastępowałam chorą nauczycielkę. Zresztą zostałam na tym stanowisku po zakończeniu studiów.

Jaki był temat Pani pracy magisterskiej?

Problematyka mojej pracy magisterskiej dotyczyła działalności gospodarczej diojkety Apolloniosa. Był to wysoki urzędnik, po którym zostało ogromne archiwum papirologiczne.

Doktorat Pani Profesor dotyczył rzemiosła tkackiego w greckim Egipcie. Później zajmowała się Pani innymi zagadnieniami naukowymi związanymi z tym terenem. Skąd to zainteresowanie dziejami rzymskiego Egiptu?

No cóż, jak już raz weszłam w źródła dotyczące Egiptu, poznałam ich wartość, wiedziałam, ile mogę z tego wyciągnąć. I wiedziałam, że już z tego nie wyjdę. Miałam koszmarnie kompleksy w związku z tym, bo co to za atrakcja być specjalistką od historii takiej dziury. Nic to, że ta dziura miała sześć milionów mieszkańców, była niesłychanie ważna i miała ogromną, niewiarygodną dokumentację. Natomiast tematyka rozprawy doktorskiej była taka, jaką wszyscy ci, którzy stanowili „stajnię” Małowistów, pod ich wpływem wybierali. Tacy badacze jak Mączak, Samsonowicz, Zientara, Kolendo, no i ja podejmowaliśmy dosyć podobne tematy z dziedziny historii gospodarczej. Iza Biezuńska poleciła mi zająć się rzemiosłem w Egipcie. Po miesiącu jako osoba bezczelna poszłam do niej i powiedziałam, że nie, nie zajmę się tym, bo nie jestem w stanie nauczyć się technologii całego rzemiosła. Zaproponowałam, że zajmę się tkactwem. Moja promotorka od razu zgodziła się na zmianę tematu. Zestaw źródłowy do tej gałęzi rzemiosła był imponujący. Ale przez pierwsze pół roku uczyłam się technologii tkactwa. To w zasadzie nie wynika z mojej książki, ale rzeczywiście nauczyłam się antycznych metod w tym zakresie. I tak zaczęła się moja przygoda z tkactwem egipskim. Po opublikowaniu dysertacji po francusku obnosiłam się z tym moim rzemiosłem po świecie. Z satysfakcją przyznaję, że do tej pory książka ta stanowi podstawowe studium ekonomiczne, chociaż ostatnio ukazała się publikacja uzupełniająca różne wątki. Muszę powiedzieć, że gdy jeszcze pisałam *L'Industrie textile dans l'Égypte romaine*, wiedziałam, czym zajmę się potem. I z nowym polem badawczym Iza Biezuńska nie miała już nic wspólnego.

Czyli czym chciała się Pani zająć?

Kościółem. Ale po kolei. Iza Biezuńska przypilnowała, żebym dostała roczne stypendium na wyjazd do Paryża. Ona wiedziała, jak prowadzić ludzi. Przed wyjazdem powiedziała mi, że przez ten czas mam się uczyć, chodzić na seminaria i wykłady. Nie mam udawać, że prowadzę badania, tylko mam się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Rada ta oczywiście całkowicie odpowiadała mojemu pragnieniu. Rzeczywiście, przez ten rok przeszłam przez niewiarygodną liczbę zajęć, a co za tym idzie, poznałam wielu uczonych. Miałam dwóch mistrzów zajmujących się papirologią. Jeden z nich, Roger Rémondon, był ważniejszy. A że zajmował się późnym antykiem, zdecydowałam się zająć właśnie tą epoką. Muszę przyznać, że myślałam wtedy, iż jestem wyjątkowo oryginalna, ale wkrótce okazało się, że podobnie myślało sporo innych naukowców. Późna starożytność wypchnęła się prawie na pierwszy front badań nad antykiem i w miarę upływu czasu zajmowało się nią coraz więcej ludzi. Ale już wówczas, jeszcze przed podjęciem badań nad dziejami Kościoła egipskiego, zdawałam sobie sprawę znając papyrusy, że dzieje Kościoła jako instytucji są w zasadzie nietknięte. I tak znalazłam sobie niszę, w której mam monopol do dziś.

Powróćmy na chwilę do stypendium w Paryżu. Było dla Pani ważne nie tylko z powodów naukowych?

Ze stypendium przywiozłam męża. Uczęszczaliśmy razem na jedno z seminariów prowadzonych przez wybitnego epigrafika, Louisa Roberta. Można powiedzieć, że zostaliśmy ożenieni według najlepszych profesorskich wzorów. Robert miał zwyczaj zapraszania do siebie do domu cudzoziemskich studentów na kolacje. Tam zostaliśmy

sobie przedstawieni. Wkrótce okazało się, że mieszkamy w tym samym kompleksie *cit  universitaire*, tylko na przeciwległych krańcach. No i zachowaliśmy ze sobą kontakt. Jednym ze skutków znajomości z moim przyszłym wówczas mężem było to, że weszłam w środowisko zupełnie mi nieznane, które prezentowało zupełnie inny sposób myślenia. Miało to dla mnie naprawdę duże znaczenie.

Po formacyjnym roku w Paryżu, ważnym pod każdym względem, i powrocie do Polski przyszła pora na dalszy rozwój naukowy. Czego dotyczyły badania, których efektem była rozprawa habilitacyjna?

Iza Biezuńska umożliwiła mi wyjazd do Berlina, gdzie mogłam wybrać sobie do publikacji papirusy, którymi chciałam się zająć. Kolekcja berlińska właśnie została restytuowana z Rosji Radzieckiej. Pamiętam, że kurator zbiorów wziął mnie do ogromnej sali, w której w niskich szafkach stały papirusy oprawione w szkło. Machnął ręką, powiedział: – Proszę sobie wybrać – i poszedł. Tych papirusów były dziesiątki tysięcy, zadanie więc nie było takie proste. Ale kurator mnie nie docenił, bo wiedziałam, jak się za to zabrać. Zaczęłam od przestudiowania inwentarza i na tej podstawie wybrałam pewną liczbę papirusów. Myślałam, że na podstawie tych źródeł powstanie moja praca habilitacyjna. Ale tak się nie stało. I bardzo dobrze. Jednak już wówczas szukałam w papirusach słowa *ekkl sia*. Miałam dobre przygotowanie papirologiczne z Warszawy, do którego w pewnej części przyczyniła się Anna Świderkówna. Doszedł do tego jeszcze trening w Paryżu. Byłam przede wszystkim historykiem gospodarczo-społecznym i tym się zajmowałam także w odniesieniu do Kościoła. Zaczęłam rozszerzać moje zainteresowania. I tu zaczęła się moja kalwaria. Był to początek lat sześćdziesiątych i w Warszawie nie było przyzwoitej biblioteki dotyczącej tego aspektu dziejów antyku. Dopiero zaczynał ją organizować ksiądz profesor Marek Starowieyski. Anna Świderkówna mówiła o nim:

– On ma charyzmę do ksiązek.

I miała rację. Ale gdy zaczynałam pracę nad historią Kościoła, tej biblioteki jeszcze nie było. Sama nie miałam żadnego przygotowania, żeby zająć się tematyką kościelną. Trudno było też znaleźć w Polsce partnerów do dyskusji. To, co prezentowała Akademia Teologii Katolickiej, było czymś nie do przyjęcia. Musiałam sama się dowiedzieć, jakie są słowniki, encyklopedie. Rozpoznać instrumentarium i nauczyć się nim posługiwać. Z historią Kościoła jest jak z mozaiką. Można założyć – i tak zakładali księża, może podświadomie, ale jednak – że w umyśle Boga powstała mozaika i poszczególne generacje dokładały do tej mozaiki kamyczki zawsze zgodnie z zamysłem Najwyższego. Identycznie działali zarówno katolicy, jak i protestanci, nie było różnicy. Ale istniało jeszcze od czasów przedwojennych środowisko historyków teologii, którzy wychodzili z założenia, że nie można uprawiać nauki – mam na myśli dzieje Kościoła, jego instytucji, doktryny i liturgii – biorąc pod uwagę transcendentny, nazwijmy to, punkt dojścia. Ale ja tego nie wiedziałam. Miałam jednak dużo szczęścia, bo tą niszą, którą sobie wymyśliłam, zajmowali się po pierwsze teolodzy – nie moja rzecz do dzisiaj, a po drugie zajmowali się nią wydawcy tekstów teologicznych. Historycy byli praktycznie nieobecni. Mogłam więc spokojnie czytać „moje” papirusy, omijane szerokim łukiem przez konfesyjnych badaczy. Sam widok

papirusów wprawiał ich w drżączkę. Bo tekst niezrozumiały, bo ma dziury, bo poszarpany, bo nie ma początku albo boków. Zajmując się odszyfrowywaniem papirusów, systematycznie doczytywałam teksty literackie i starałam się połączyć w całość zarysowany w ten sposób obraz.

Nie czuła się Pani Profesor osamotniona w tej działalności?

Byłam przerażona. Na początku starałam się szukać wśród księży konsultantów, bez skutku. Mam na myśli polskich księży, bo tylko z nimi w tym czasie miałam kontakt. Ale pojawiła się trzecia grupa źródeł. Poza papirusami i tekstami literackimi – archeologia.



W ruinach klasztoru Szenutego w Sohag w Górnym Egipcie. Luty 2006 r.

Fot. Jakub Urbanik

Przejdźmy teraz do Pani romansu z archeologią. I to romansu owocnego, bo jest Pani Profesor rzadkim przykładem historyka, który dokonał odkrycia archeologicznego w bibliotece.

Wiedziałam, że nie można być badaczem starożytności bez znajomości dodatkowej dziedziny, nazwijmy ją techniczną. Dla mnie taką dziedziną była papirologia. Obok miałam przyjaciela, Jerzego Kolendę, dla którego taką dziedziną była archeologia. Nie musiałam więc jakoś specjalnie dojrzywać do tego, żeby zdać sobie sprawę, jak ważną dziedziną jest archeologia. Już wspominałam o Aleksandrze Gieysztorze, badaniach wokół milenium. Istotna rola archeologii była dla mnie oczywista, ale upłynęło sporo czasu, zanim doszłam do materiału archeologicznego. Stało się to dopiero w Egipcie. Przyznaję się wam, że gdy opublikowałam pracę

habilitacyjną, poszłam z egzemplarzem do Kazimierza Michałowskiego i powiedziałam: drogi panie profesorze, ja nie mam żadnych powodów, żeby pojechać do Egiptu, ale naprawdę muszę. Chcę zobaczyć niebo i ziemię. Michałowski przyznał mi dwumiesięczne stypendium i na początku lat siedemdziesiątych po raz pierwszy pojechałam do Egiptu. Mimo że panował w nim wówczas stan wojenny, udało mi się sporo zobaczyć. Po kilku latach, na początku lat osiemdziesiątych, udało mi się otrzymać kolejne stypendium, tym razem na trzy miesiące. Dostawałam tak niewiele pieniędzy, że czasem nie starczało na autobus, ale udało mi się zobaczyć bardzo wiele. Poznałam nowych ludzi, wykorzystywałam każdą możliwość podróżowania po kraju. Przyglądałam się też wykopaliskom. Co tu ukrywać, że z historyka bez przygotowania archeologicznego, którego Pan Bóg nie obdarzył zdolnościami do rysowania, do fotografowania, nie ma żadnego pożytku na wykopaliskach. Ale za to wiedziałam całkiem dużo o Egipcie, o klerze, o świętych. Potem udawało mi się jeździć prawie co roku do Egiptu i za każdym razem oglądałam jakiś kawałek, jakieś stanowiska monastyczne. Ostatecznie chyba zobaczyłam dziewięćdziesiąt procent tego, co było do zobaczenia. Tym sposobem powiększyłam moją niszę.

W pewnym momencie ksiądz Starowieyski poprosił mnie o opracowanie tekstów o świętym Antonim. Dostałam do napisania wstęp i komentarze do przetłumaczonego wcześniej tekstu. Autorka tłumaczyła z *Patrologii* Migne'a. Czyli wzięła na warsztat łacińską wersję arabskiego przekładu oryginału. Poza tym nie miała wielkiego pojęcia o czasach Antoniego. Znalazłam tam regułę, którą Antoni miał podyktować ojcom z Naklun. Kiedy czytałam ten tekst, nagle wróciło wspomnienie z jakiejś rozmowy, przypomniałam sobie, że istnieje takie stanowisko monastyczne. Czytałam o nim w dziele pewnego jezuita, człowieka świetnie znającego monastyczny Egipt (a w ogóle osoby pod każdym względem nadzwyczajnej, której bardzo wiele zawdzięczam). W moim egzemplarzu tego dzieła o klasztorach brak jednak było stron o Naklun. Zadzwoniłam więc do przyjaciela w Paryżu z prośbą o ich przeczytanie. Później zamęczałam inne osoby o dostarczenie mi prac traktujących o klasztorze w Naklun. Na koniec z bijącym sercem poszłam do Muzeum Narodowego do Włodzimierza Godlewskiego i powiedziałam mu, że nie tylko mam w rękę regułę mojego klasztoru, ale że na brzegu oazy Fajum znajdują się pozostałości kompleksu monastycznego, który nigdy nie był badany, więc możemy spróbować. Wiedziałam, że miał on w ciągu kilku miesięcy wyjechać na rok jako sekretarz stacji archeologicznej w Kairze. Trochę trwało, zanim napisał mi, że pojechał do Naklun i znalazł w tym miejscu cudowny, wielki kom, czyli pagórek powstały na pustyni poprzez przykrycie piaskiem zabudowań, które tam wcześniej były. Do tej pory jest on widoczny z lotu ptaka. Płowa pustynia i ogromny, nawet dzisiaj, ciemny obszar. Co więcej, we wzgórzach znajdujących się niedaleko były eremy, zazwyczaj zasypane, ale niektóre tylko częściowo i można było je zidentyfikować. W każdym razie Godlewski powiedział:

– Jest rzecz.

Mnie wydawało się, że jest to do zrobienia podczas jednego sezonu wykopaliskowego. A prace trwają tam do dzisiaj. W 1984 roku zaczęliśmy pracę na stanowisku.

Warunki były bardzo ciężkie, brakowało wody do mycia i prania, pchły były w obfitości, ale od razu stwierdziliśmy, że w tym w miejscu znajdował się jeden z najważniejszych, a może i najważniejszy ośrodek monastyczny środkowego Egiptu. Rozpoczęliśmy fachowe, profesjonalne badania archeologiczne. Mielśmy ogromne szczęście, bo już w pierwszym sezonie znaleźliśmy papyrusy oraz fragment pergaminu, który wkrótce okazał się być stroniczką z XI księgi dzieła Tytusa Liwiusza, akurat do tej pory nieznaną. Mój mąż, jak na filologa klasycznego przystało, szalał, jak przyjechałam z fotografiami pergaminu. Te początkowe sukcesy pomogły w zdobyciu środków na dalsze badania. Muszę powiedzieć, że podziwiałam Włodzimierza Godlewskiego. Zajmował się robotnikami, biurokracją i tymi wszystkimi rozmaitymi rzeczami, którymi trzeba było się zajmować, żeby wykopaliska mogły trwać. A ja biegałam po wzgórzach i oglądałam miejsca, w których były eremy. Na tym polegało moje zadanie. Na koniec, pamiętam, że było to dobrze po południu, powiedziałam:

– Włodzimierzu, jutro przychodzą robotnicy, chodź ze mną, zadecydujemy, gdzie zacząć kopać.

Obeszliśmy kilka eremów, które leżały wzdłuż jednej dolinki. Na koniec zdecydował:

– W tym miejscu, dokładnie w tym.

I był to najciekawszy erem. Oczywiście, to się nazywa intuicją archeologiczną, ale figę z makiem. To jest wiedza, erudycja i doświadczenie. Efekt pierwszych wykopalisk był absolutnie tryumfalny.

Z jakimi archeologami współpracowała Pani Profesor poza Włodzimierzem Godlewskim?

Współpracowałam z Hanną Szymańską, która już dzisiaj nie żyje. Pracowała wówczas w Muzeum Archeologicznym w Krakowie. Także z Krzysztofem Babrajem. Mieli oni koncesję na badanie ruin miasta Marei, położonego nieco ponad czterdzieści kilometrów od Aleksandrii, na brzegu jeziora Mareotis. To oni mnie zaprosili do współpracy. Jak mi powtórzono, jeden z sekretarzy misji archeologicznej złośliwie stwierdził, że zaprosili mnie tylko po to, żebym wszystko przeczytała i ustrzegła ich od tej przykrej (sic!) konieczności. Powiedziałam, że oczywiście, że tak. I to bardzo dobrze! Dlaczego wszyscy mają czytać wszystko? Trzeba grać zespołowo, w zespole każdy ma swoje zadania i obowiązki. W Marei byłam kilkakrotnie.

Potem Tomasz Mikocki, dyrektor Instytutu Archeologii, zaproponował mi wzięcie udziału w programie, w ramach którego badano bazylikę w Ptolemais w Cyrenajce. Były to nowoczesne wykopaliska z wykorzystaniem wszelakich „szykan” technologicznych, bardzo interdyscyplinarne, kompleksowe. Do moich obowiązków należało między innymi biegać za latawcem, na którym znajdowała się kamera robiąca zdjęcia i nagrywająca filmy z lotu ptaka. Cała gromadka osób latała za latawcem i pilnowała, żeby przy lądowaniu złapać kamerę, bo inaczej by się roztrzaskała. Ale najęto mnie, bym zajęła się historią chrześcijańskiej Ptolemais i jej kościołami.

Moja wielka przygoda polegała na tygodniowym pobycie w najślawniejszym miejscu dla chrześcijańskiego archeologa, jakim był ogromny kompleks monastyczny w Kellia, na zachodnim brzegu Delt. Zupełnie przypadkowo poznałam kierownika



W drodze do klasztoru Anba Hadra w pobliżu Assuanu. Luty 2006 r.

Fot. Jakub Urbanik

wykopalisk na tym terenie w czasie jego wizyty na polskich wykopaliskach w Tell Atrib i bez ceregieli poprosiłam, żeby zabrał mnie z nimi, bo wiedziałam, że to może być jedyna szansa, aby zobaczyć to stanowisko, do którego szalenie trudno było się dostać. Gdy wysiadłam z jeepa na pustyni, w Kellia, na powitanie wyszła pewna pani, którą poznałam już wcześniej w Warszawie. Rozpromieniła się na mój widok i powiedziała, że mogłabym stać się jej pomocnicą. Zostałam tydzień i trzymałam nylony, na których ona kopiowała malowidła. Spałam w kącie na podłodze,

w śpiworze i byłam absolutnie szczęśliwa, jak tylko można być w nadzwyczajnym miejscu z licznymi eremami pełnymi cudownych malowideł. Pobyt w Kellia wstrząsnął mną głęboko, zmienił moje poglądy na monastycyzm egipski, a wszelkie niedogodności pustynne nie miały najmniejszego znaczenia. Wykopaliska mają to do siebie, że człowiek może poczuć się trochę jak Indiana Jones. Później pojechałam tam z Godlewskim i dotarcie na miejsce zajęło nam wieczność, pomimo jego znajomości języka arabskiego i dopytywania mieszkańców.

Wróćmy z Egiptu do Warszawy i cofnijmy się nieco w czasie. Czy po studiach od razu zaczęła Pani pracować na uniwersytecie?

Pierwszy rok pracowałam w szkole. Dopiero później... Muszę powiedzieć, że nienawidziłam uniwersytetu i do teraz nie Kocham tej instytucji. Zwłaszcza wpisana w samą konstrukcję akademii podległość ludzi młodych starym traktuję jako coś niedobrego. Poza tym miałam, jakby to ująć, bardzo twardy stosunek do ludzi, którzy mnie otaczali. Później złagodniałam.

Jak wyglądały stosunki ze studentami?

Miałam już doświadczenie zdobyte podczas pracy w szkole. Zawsze czułam, że jestem stworzona do nauczania. Nie miałam żadnych trudności, nigdy. Myślę, że byłam dobrym wykładowcą. Mój dziadek wykładał w pierwszej politechnicznej szkole w Warszawie. Wzrastałam obok mojej matki, więc psychologicznie byłam do tego zawodu przygotowana.

Zaczynałam pracę w czasach, w których student nie mógł powtórzyć pierwszego roku. Jeżeli nie zaliczałam kogoś ćwiczeń, po prostu wylatywał. W przypadku mężczyzn taka sytuacja miała wyjątkowo przykre konsekwencje w postaci służby wojskowej. Oczywiście, jak każdy początkujący byłam może twardsza, niż powinienam. Zresztą jako egzaminator byłam surowa do samego końca. Warto zaznaczyć, że i w tym względzie miałam zawsze ogromną pomoc ze strony Izy Biezuńskiej, która prowadziła działalność dydaktyczną w sposób doskonały. Biezuńska wymagała od swoich asystentów obecności na przeprowadzanych przez nią egzaminach. W ten sposób też się uczyłam. Gdy pracowałam w Instytucie Archeologii, egzaminowałam studentów starszych roczników już w inny, tolerancyjniejszy sposób. Byłam bardzo elastyczna pod względem doboru lektur, ale i terminów. I nigdy nie stawiałam ocen niedostatecznych. Byłam gotowa powtarzać egzaminy aż do pozytywnego skutku. Wspominam te egzaminy z wielką satysfakcją.

Od początku Pani kariery zawodowej ważną rolę odgrywała działalność popularyzatorska. Przez wiele lat współtworzyła Pani czasopismo „Mówią Wieki”.

Czasopismo to powstało w 1958 roku, na fali odwilży popaździernikowej. Powstanie miesięcznika wynikało z głębokiego przekonania, że potrzebne jest czasopismo o charakterze popularyzatorskim, które nie byłoby związane z partią. Kłopoty ze strony partii nie były zresztą tak wielkie, jak można sobie wyobrazić. Po latach mieliśmy kompleksy, że cenzura za rzadko nas trapiła. Staraliśmy się pracować rzetelnie, może mogliśmy więcej...

Jest Pani autorką licznych podręczników szkolnych. Skąd ta przygoda dydaktyczna? I co jest trudniejsze – napisanie dobrego podręcznika czy dobrego artykułu?

Oczywiście dobrego podręcznika szkolnego. To o wiele trudniejsze. Pamiętam, że potwornie trudne było napisanie podręcznika do piątej klasy szkoły podstawowej. Weźmy część dotyczącą Sparty. Pisząc podręcznik akademicki mam możliwość dokładnej analizy i przedstawienia tego, co wiemy, i tego, czego nie wiemy. W podręczniku szkolnym muszę napisać tekst zgodny z wiedzą naukową mając w pamięci adresata. Dlatego każde zdanie, które wygląda na dosyć oczywiste, było okupione dużym namysłem. Dobrze wiedziałam, co to jest szkoła – kiedy pisałam podręcznik do piątej klasy, mój syn był w piątej klasie. Miało to duże znaczenie, bo po prostu wiedziałam, co młody człowiek w piątej klasie może.

Jakie momenty w swojej karierze naukowej wspomina Pani Profesor najlepiej i najgorzej?

Po pierwsze, nie wspominam! Nie mam zwyczaju oddawania się wspomnieniom. Jestem osobą zadowoloną ze swojego życia, z wybranej drogi. Aprobuję to, co zrobiłam. Oczywiście różne rzeczy zrobiłabym inaczej, ale w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Powiem taki morał. Najważniejsze jest, żeby profesor się nie znudził, nie oklapł, żeby w dalszym ciągu to, co robi, po prostu go bawiło. Działalność naukowa bawiła mnie od początku i bawi do teraz. Może dlatego udało mi się zgromadzić wokół siebie liczne grono ludzi, których słucham na seminariach, których teksty czytam i poprawiam. To, że czynię to na ich prośbę, stanowi dla mnie najcudowniejszy wynik moich lat pracy.

a.gillmeister@ih.uz.zgora.pl
adrian.szopa@up.krakow.pl

ARGUMENTUM

Eva Wipszycka, professor Universitatis Varsoviensis, praecipue rerum gestarum Ecclesiae in Aegypto studiosa, narrat in colloquio cum Andrea Gillmeister et Hadriano Szopa habito de sua vita ac studiis.



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła.
Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>